

Antoni Bojańczyk

Szpalty pamięci : dr Krzysztof Poklewski-Kozieł (1915-2006)

Palestra 51/5-6(581-582), 381-385

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

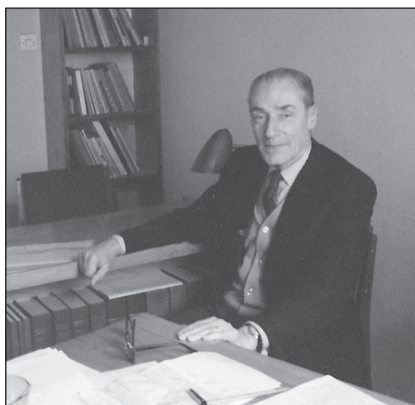
SZPALTY PAMIĘCI

dr Krzysztof Poklewski-Koziełł (1915–2006)

W piątek, 12 maja 2006 r., zakończył w Warszawie swe życie dr Poklewski-Koziełł. Nestor polskich prawników, od prawie pięćdziesięciu lat był sekretarzem redakcji czołowego polskiego czasopisma prawniczego, „Państwa i Prawa”. Żonaty z Zeneidą z Zamoyskich, zmarł bezdzietnie.

Urodził się 92 lata temu w Mniszkowie, w powiecie opoczyńskim, w rodzinie ziemiańskiej. Co prawda w dokumentach oficjalnych jako rok urodzenia widniał 1915, ale – jak wspominał – naprawdę urodził się w roku 1914. Z powodu jakichś zawirowań biurokratycznych związanych z wojną światową, w metrykach błędnie podano późniejszą datę urodzenia. I tak już zostało.

Prawie całe życie był związany z Warszawą, choć do czasów szkoły średniej edukację odbierał – wówczas praktykowanym – sposobem domowym w majątku rodzinnym. Życia na wsi i jego uroków nie wspominał jednak ze zbyt wielkim sentymentem. Nie znosił na przykład koni i jeździectwa, które z kolei uwielbiał Jego ojciec, Witold Poklewski-Koziełł, w latach międzywojennych m. in. Inspektor Państwowych Zakładów Chowu Koni Ministerstwa Rolnictwa oraz przedstawiciel Ministerstwa Rolnictwa w komisji „Polskiej Księgi Stadnej Koni Arabskich Czystej Krwi”, pasjonat koni i jeździectwa. Pamiętam, że samo wspomnienie piękna jazdy konnej wywoływało u dr. Poklewskiego grymas niesmaku. Był tu na pewno w wyraźnej opozycji do zamiłowań ojca.



W Warszawie uczęszczał do gimnazjum humanistycznego im. Jana Zamoyskiego (matura 1932). Następnie odbył studia prawnicze na Uniwersytecie im. Józefa Piłsudskiego, które ukończył w roku 1936. Okresu studiów nie wspominał jako szczególnie ożywczego pod względem intelektualnym. Studia jawiły się w Jego wspomnieniach jako czas dłuższych, wzmożonych okresów nauki i pokonywania niełatwych egzaminów, do których podchodziło się wówczas *en bloc*. Ze wspomnień o okresie studenckim pamiętam między innymi Jego opowieść o wykładach profesora Stanisława Śliwińskiego. Twierdził, że były okropnie nudne i – w związku z tym – niepopularne, a Śliwiński po prostu czytał na nich swój skrypt do procedury karnej.

W latach 1936–1939 odbywa aplikację sędziowską w stołecznych sądach i prokuraturze. *Notabene* w tym samym okresie sędzią w sądach warszawskich jest inny Poklewski-Kozieli, słynny w całej Warszawie, barwna postać stołecznego sądownictwa, znana z niezliczonych anegdot (nie zawsze zresztą ukazujących jego osobę w najlepszym świetle) i występująca w niemalże każdym wspomnieniu z epoki. Dr Poklewski – dość niechętnie – przyznawał, że był to jego krewny (jak bliski – co do tego był szalenie dyskretny i nigdy tego nie ujawnił, była to tylko „jakaś rodzina”). W każdym razie – delikatnie rzecz ujmując – specjalnie się tą parantelą nie szczycił (a trzeba wiedzieć, że miał pewną słabość do akcentowania „lepszych” koligacji).

Egzamin sędziowski składa przed samym wybuchem wojny.

W okresie okupacji pracuje jako księgowy i kasjer w majątku ziemskim. O wojnie wiele nie opowiadał (zresztą generalnie starał się unikać wszelkich opowieści na swój temat). Kiedyś jednak rozmowa zeszła na czasy okupacji, na temat zakresu kolaboracji wśród Polaków, szmalcownictwa itp. Kozieli-Poklewski powiedział, że co prawda nie słyszał o takich przypadkach, ale z incydentem denuncjacji zetknął się w czasie wojny osobiście. Ba, był nawet głównym protagonistą takiego zdarzenia! Podróżując któregoś dnia koleją z Łowicza (*General Gouvernement* – „Lowitsch”) do Warszawy, został wyłapany czujnym wzrokiem pewnej pani z tłumu pasażerów i wskazany (Bahnschutzom) jako ewidentny niaryjczyk. Widocznie pani zasugerowała się pociągłymi rysami twarzy dr. Poklewskiego i jego dość smagłą karnacją. Co takie oskarżenie oznaczało w tamtych czasach, nie trzeba oczywiście tłumaczyć. W każdym razie sytuacja stała się dość niewesoła. Sprawdzanie dokumentów. Na szczęście wszystko skończyło się bez żadnych konsekwencji i Poklewski dojechał do Warszawy.

Bezpośrednio po wojnie zostaje powołany na stanowisko podprokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie z jednoczesnym oddelegowaniem do pracy w Ministerstwie Sprawiedliwości. W Ministerstwie pracuje do roku 1950, jednocześnie, w latach 1946–49, jest starszym asystentem w Katedrze Kryminologii Uniwersytetu Łódzkiego, kierowanej wtedy przez Jego mistrza, znakomitego polskiego kryminologa, prof. Stanisława Batawie. W 1947 r. wyjeżdża na stypendium naukowe do Paryża. Tam – w 1949 r. – uzyskuje doktorat z zakresu prawa na Uniwersytecie Paryskim. W roku 1950 zostaje przeniesiony w stan spoczynku i wpisuje się na

listę adwokatów. Przez pięć następnych lat jest starszym inspektorem w Centralnym Zarządzie Budowy Miast i Osiedli „ZOR” (Zakład Osiedli Robotniczych). W 1956 r. przechodzi do pracy w Wydawnictwie Prawniczym, w którym przez dwa lata kieruje czasopismem „Prawo Za Granicą”.

W roku 1958 zostaje sekretarzem redakcji „Państwa i Prawa”.

Funkcję tę pełnił do ostatnich dni życia. Jeszcze dwa dni przed śmiercią, już po wyjściu ze szpitala (gdzie przeszedł operację ortopedyczną nogi), formalnie jeszcze na zwolnieniu, pracuje nad materiałami do kolejnego numeru czasopisma.

W latach 70. i 80. pracował jako ekspert i konsultant w ONZ (przez pewien czas mieszkał zresztą z żoną w Nowym Jorku), zajmując się sprawami zwalczania przestępczości i nadużyć władzy.

Bez wątpienia był urodzonym i wybitnym redaktorem. „Wymarzonym” tak dla redakcji (której serce stanowił), jak i dla autorów, którzy mieli z Nim zaszczyt współpracować. Niezwykle pracowity i ogromnie sumienny. Zawsze dotrzymywał danego słowa. Żył się też niesłychanie, gdy inni tego nie czynili. Do lektury i pracy nad napływającymi (przecież bardzo licznie) tekstami zabierał się niemalże natychmiast. Pracował nad tekstem w sposób tradycyjny: z ołówkiem w ręku. Zwracał uwagę na każdy, najdrobniejszy nawet szczegół. Był specjalnie wyczulony na drętwy czy niedobry styl. Pamiętam rzecz bardzo znamienne. Przynosiłem mu niekiedy teksty z zakresu problematyki, którą zajmują się zawodowo. Zawsze zastrzegając się, że nie jest („niestety”) czytelnikiem „fachowym”, że polegać musi przede wszystkim na wewnętrznych recenzjach, że nie zna się na danym zagadnieniu, że Jego „działka” jest przede wszystkim kryminologia, że tekst będzie czytał głównie z punktu widzenia poprawności stylistycznej itd. Już jednak po lekturze pracy zaskakiwał dwoma lub trzema pytaniami czy uwagami, często wypowiedzianymi zresztą całkowicie *en passant*, które zdradzały pełną biegłość Sekretarza w danej dziedzinie. Oczywiście obok licznych wskazówek natury stylistycznej czy konstrukcyjnej.

Był przy tym autentycznym rzecznikiem (i zwolennikiem) autorów, lubił ich i potrafił dbać o nich. Zachęcał na przykład autorów do podejmowania wciąż nowych tematów. Nierzadko: inspirował teksty. Robił to przy tym w sposób tak dyskretny, wręcz niewidoczny, że autor zazwyczaj kończył rozmowę z dr. Poklewskim głęboko przeświadczony o swej autentycznej inwencji twórczej. Z drugiej strony potrafił być bezwzględny i celny krytykiem zarówno *meritum*, jak i stylu autora. Co wychodziło tylko na korzyść piśmiu i – przede wszystkim – samym autorom. A przy-



chodzili do „Państwa i Prawa” przecież autorzy bardzo różni: począwszy od debiutujących, nikomu nieznanym młodym asystentów, a skończywszy na gwiazdach i primadonnach polskiej nauki prawa, profesorach, sędziach najwyższych instancji itd. Wszystkich traktował jednakowo – choć nikt nie korzystał z merytorycznej taryfy ulgowej, to jednak zawsze mógł liczyć na życzliwą pomoc dr. Poklewskiego.

Mimo zaangażowania w prace redakcyjne był dr Poklewski autorem ponad stu cennych publikacji naukowych (w tym bardzo wielu recenzji, bo czytał wiele, i to nie tylko zawodowo), przede wszystkim jednak z zakresu kryminologii i prawa karnego. Szczególnie pasjonowały go jednak dwa tematy: kara śmierci (której był gorącym przeciwnikiem) i problematyka eutanazji i wspomaganego samobójstwa.

Temu ostatniemu tematowi poświęcił w ostatnich latach życia kilkanaście prac (także w „Palestrze”, w której w 1997 r. ogłosił tekst o pomocy do samobójstwa w orzecznictwie Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych). W czasie rozmów zawsze i z uporem do niego powracał. U zarania naszej znajomości był to w pewnym sensie żelazny temat „programowy”. Dużo o tym rozmawialiśmy, dr Poklewski zawsze ten temat prowokował. Przewagę w tych dyskusjach miał oczywiście On, wytrawny znawca, kierujący wedle upodobania rozmową, biegły w literaturze problemu. Powoli jednak temat się wyczerpywał, musiał się wyczerpać. Strony zajmowały nieprzejednane stanowiska, okopywały się głęboko na swych pozycjach. Padały argumenty tyle razy już słyszane, nieprzekonujące jednak tej drugiej strony. Dyskusja stawała się jałowa, tempo zwalniało. Temperatura gąsła. Milczeliśmy, powoli i niemrawo rozmowa zaczynała wędrować w inne rejony. Ale dr Poklewski do tematu wracał. Z uporem. Przy kolejnej okazji. Znowu sondowanie przeciwnika, badanie gruntu. Następowwała wtedy rytualna wymiana stanowisk, demonstracja niezmienności. Ale nie nieprzejednania. W sprawach zasadniczych miał dr Poklewski tę ujmującą cechę, że się zazwyczaj nie zaperzał.

Obok eutanazji były i inne tematy, które traktował *con amore*. Przede wszystkim polityka. Prawdziwie ją przeżywał, czytał wszystkie ważniejsze dzienniki i tygodniki.

Zmagał się z Wiarą. Ten temat też był zawsze obecny w naszych rozmowach.

Z racji swego wieku i długoletniej pracy w „Państwie i Prawie”, dr Poklewski był żywym świadkiem dziejów polskiej nauki prawa drugiej połowy XX wieku.

Należy przypomnieć, że był prawdopodobnie ostatnim żyjącym polskim obserwatorem procesu norymberskiego. Mam przed sobą cenną pamiątkę tamtego epizodu Jego życia, którą mnie kiedyś obdarował. Niewielki bilet formatu 7 × 12 centymetrów. Na awersie: dłoń trzymająca szalę Temidy i nad tym napis: *International Military Tribunal. Final judgment. Session No 1. Seat No 96*. Na rewersie: pieczęć i wpisy maszyną – pierwsza połowa: Dr T. Cyprian, druga połowa (musieli się w połowie publikacji werdyktu zamienić miejscami) – S. K. Poklowski (!). I podpisy: Cyprian, Poklewski-Koziełł. Wyrok ogłoszono 1 października 1946 r. Jakiś czas temu zaproponowałem Mu, żebyśmy nagrali na ten temat rozmowę, szczególnie że zbliżała się okrągła rocznica procesu. Oczywiście się zgodził. Bez najmniejszego wahania. Ale też bez entuzjazmu. Widocznie zbyt wielki był opór przeciwko temu, by stanąć w centrum uwagi. Z drugiej strony nie chciał odmawiać. Dlatego

taktownie nie powracał do tematu. Dopiero po wyjściu ze szpitala sam – z energią – wrócił do tego pomysłu. Może by taki wywiad dać do „Palestry”. Czy dałoby się porozmawiać w tej sprawie z jej szefem? To była nasza ostatnia rozmowa. Nie dowiedział się już, że jest miejsce na taki wywiad. Mieliśmy rozmawiać o procesie. Ale nie tylko. Także o innych sprawach. Czy na przykład zetknął się osobiście z „ojcem” współczesnej doktryny ludobójstwa, Rafałem Lemkinem? Niestety, ten wywiad się już nie ukaże.

Jaki był w kontaktach osobistych, jakim był człowiekiem?

Każdy kto Go znał, zapewne będzie Go wspominał trochę inaczej. Wolno mi mówić tylko w swoim imieniu. Znaliśmy się od prawie dwunastu lat. Choć była pomiędzy nami wielka różnica wieku, nawiązała się jakaś naturalna nić sympatii. Wzmocniona być może tym, że w gimnazjum Zamoyskiego (o czym dowiedziałem się kiedyś właśnie od Niego) był w jednej klasie razem z moim dziadkiem.

Był człowiekiem dość ciepłym i przyjaznym, choć trzymał zawsze pewien dystans. Bardzo dyskretny, o sobie mówił z dużymi oporami; mało lub bardzo mało. Z niechęcią. Jeżeli już – to tylko wtedy, gdy rozmowa wywoływała jakieś wspomnienie, lub – rzadko – odpowiadając na zadane wprost pytanie.

Miał alergię na pytania o swoje zdrowie. Udawał wtedy, że jest głuchy. Potem słuch Mu cudownie wracał.

Jak już wspominałem, był niesłuchanie wrażliwy na punkcie słowności. Brak słowności należał do katalogu grzechów głównych u dr. Poklewskiego. Tu stawał wielkie wymagania. Niesłowność definitywnie kończyła przyjaźnię i znajomości. W przyjaźni był zresztą niesłuchanie lojalny, nie było takiej rzeczy, której nie zrobiłby dla osoby którą cenił i darzył zaufaniem. Gdy przychodziło się Go odwiedzać w pokoju redakcyjnym, zastawało się Go oczywiście przy jednym z dwóch „redaktorskich” zajęć: albo siedział pochylony z ołówkiem nad kolejnym tekstem, albo rozmawiał przez telefon. Zazwyczaj z autorem. W „starej” redakcji „Państwa i Prawa” na Wiejskiej (w kamienicy, którą po wojnie zajęła Spółdzielnia „Czytelnik”) był to dość duży pokój od podwórza, w nowej redakcji w Pałacu Staszica także pokój od dziedzińca, ale już bardzo maleńki, w zasadzie rodzaj kanciapy. Bardzo skromnie urządzonej, wręcz ascetycznej (a przecież w tym pokoju spędził prawie pięćdziesiąt lat swego życia zawodowego). Biurko, półki z książkami, numerami „Państwa i Prawa”. I białe ściany. Gołe poza ciekawą grafiką (czy reprodukcją grafiki) Picassa przedstawiającą Don Kichota i – gryzącym się z tym szlachetnym czarno-białym Don Kichotem – barwnym diagramem na blasze z lat 70. przedstawiającym strukturę organizacyjną ONZ. Myślę, że obie rzeczy wisiały tam z powodu szczególnego sentymentu Sekretarza. Wzrok przyciągała zresztą zawsze wyraźna, geometryczna sylweta Don Kichota.

Środowisku prawników będzie bardzo brakowało Doktora Poklewskiego. Osierocił liczną rzeszę polskich autorów ze wszystkich dziedzin prawa. Nauka prawa poniosła bolesną stratę.

Pozostanie w sercach tych, którzy Go znali.

Antoni Bojańczyk